



Czy można wyleczyć się z nienawiści?



WANDA TRACZYK-STAWSKA

strzelec łączniczka w Powstaniu Warszawskim, przewodnicząca Społecznego Komitetu ds. Cmentarza Powstańców Warszawy

Macie Państwo przed sobą świadectwo Pani Wandy Traczyk-Stawskiej – strzelca łączniczki w Powstaniu Warszawskim. Jest to historia przejścia od nienawiści do pojednania, od żądzy zemsty do wybaczenia. Historia, na której piętno odcisnęła najstraszniejsza z wojen. Zastanówmy się, czym w obliczu tej historii są nasze codzienne konflikty i niesnaski – czy to na płaszczyźnie prywatnej, światopoglądowej czy politycznej. Czy te podziały oraz związane z nimi niechęć i pogarda dla drugiej strony, faktycznie są barierami nie do pokonania? Czy nie warto do naszych codziennych sporów nabrać większego dystansu?

W 1939 r. miałam 12 lat, bardzo kochających rodziców, rodzeństwo, pieska. Grałam na podwórku w piłkę nożną i byłam szczęśliwym dzieckiem wierzącym w słowa puszczonej w radiu piosenki: „Nikt nam nie ruszy nic, nikt nam nie zrobi nic, bo z nami Śmigły, Śmigły, Śmigły-Rydz!”. Nie bałam się wojny, ponieważ wierzyłam, że Śmigły-Rydz mnie obroni. Tymczasem już po 12 dniach od wejścia Niemców do Polski ulica Dolna, przy której mieszkałam, stała się linią frontu. W naszym domu stacjonowali polscy żołnierze wyposażeni w cekaem. Z naszej pralni zrobiono schron. Nie pozwolono mi tam jednak wejść razem z psem. Strasznie bał się on odgłosów strzelaniny, więc zdecydowałam się pozostać w domu, trzymając go w swoich rękach.

Wtedy też zostałam świadkiem wydarzenia, które jest w mojej głowie żywe po dziś dzień. W znajdujący się po przeciwległej stronie ulicy budynek uderzyła bomba. Widziałam, jak z tego zawalającego się domu, wśród dymu i kurzu, wybiega kobieta z maleńkim niemowlakiem na ręku. Niemcy, mający swoje pozycje około 100 metrów dalej, nie mieli litości – strzelali do nich z ciężkiej broni maszynowej. Widziałam, jak dziecko rozpada się na części niczym pierze z poduszki.

W tym momencie skończyło się moje dzieciństwo. Zrozumiałam, że Niemcy są naszym śmiertelnym wrogiem i trzeba z nimi walczyć. Byłam harcerką i razem ze swoimi koleżankami z zastępu starałam się dostać do konspiracji. Nikt nas jednak nie chciał przyjąć. Robiliśmy więc na własną rękę to, co mogły robić dzieci. Chodziłyśmy do Szpitala Ujazdowskiego, do ciężko rannych żołnierzy, aby im czytać, opowiadać, przynosić kwiatki i jedzenie.

Dopiero w 1942 r. udało mi się trafić do konspiracyjnego harcerstwa: do Szarych Szeregów. Równocześnie trafiłam też na komplety – tajne nauczanie prowadzone podczas wojny.

Pamiętam, że pewnego dnia podczas lekcji, nieopodal, na placu Unii Lubelskiej, trwała egzekucja zakładników. Niemcy nadawali z megafonów, że podejście do okna skończy się zastrzeżeniem patrzącego. Zaczęli rozstrzeliwać o 8:30, skończyli o 12:30. Przy każdej salwie płakaliśmy, modliliśmy się. Gdy wyszłam później na ulicę, zupełnie oszalała z nienawiści do Niemców, i zobaczyłam, jak z chodników zmiatają strzępki ciał i krwi do rynsztoka, postanowiłam, że nauczę się strzelać, by zabijać wroga, by nie być – tak jak inni cywile – bezradną ofiarą.

Zdecydowałam, że przestanę chodzić na lekcje, nie chciałam też kontynuować zajęć w Akcji „N”, polegających na roznoszeniu do Niemców, ale także i do polskich szmalcowników, warunkowych wyroków śmierci. Chciałam nauczyć się strzelać, aby znaleźć się w plutonie egzekucyjnym. Wtedy mój serdeczny kolega z konspiracji – Tadiusz Zürn, pseudonim „Karolek” – powiedział mi, że jestem głupia, że bardziej niż o strzelaniu powinnam myśleć o dalszej nauce. Przyniósł mi wiersz, który w 1942 r. napisał Jan Romocki, pseudonim „Bonawentura”. Jego słowa brzmiały:

*Od wojny, nędzy i od głodu
Sponiewieranej krwi narodu,
Od łez wylanych obłąkanie
Uchroń nas, Panie.*

*Od niepewności każdej nocy,
Od rozpaczliwej rąk niemocy,
Od lęku przed tym, co nastanie,
Uchroń nas, Panie.*

*Od bomb, granatów i pożogi,
I gorszej jeszcze w sercu trwogi,
Od trwogi strasznej jak konanie
Uchroń nas, Panie.*

*Od rezygnacji w dobie klęski,
Lecz i od pychy w dzień zwycięski,
Od krzywd – lecz i od zemsty za nie
Uchroń nas, Panie.*

*Uchroń od zła i nienawiści.
Niechaj się odwet nasz nie ziści.
Na przebaczenie im przeczyste
Wlej w nas moc, Chryste.*

Nie zgadzałam się z treścią tego wiersza. Z jego początkiem – owszem, ale z końcówką, w której mowa o zaprzestaniu nienawidzenia, absolutnie nie.

W Powstaniu Warszawskim strzelałam i zabijałam atakujących nas wrogów w niemieckich mundurach, ale gdy podczas akcji zniemacka wpadłam na Niemca i popatrzyliśmy sobie w oczy, mając wycelowaną do siebie broń, nie pociągnęliśmy za spust. Nie wiem, jak to się

stało, ale po chwili obydwójce wycofaliśmy się do swoich. Zabić człowieka, patrząc mu w twarz, było czymś ponad moje i tego młodego Niemca siły. Wtedy po raz pierwszy zgodziłam się z wierszem Bonawentury... ale jeszcze nie całkiem.

Kolejne wydarzenia sprawiły jednak, że doszło do mnie to, że słowa napisane przez Bonawenturę są w istocie bardzo mądre. W dalszej części Powstania, kiedy broniliśmy linii Nowego Świata, byłam ranna. Mimo to musiałam rzucać granaty, które rozrywały Niemców. Po raz pierwszy przestałam ich wówczas nienawidzić – widziałam w nich ludzi. Nie czułam satysfakcji z dokonującej się zemsty. Nie czułam jej też wtedy, gdy po Powstaniu przewożono nas do obozów jenieckich, a ja na własne oczy widziałam zrujnowane od alianckich nalotów niemieckie miasta i rozpacz ich mieszkańców. Zaczęłam rozumieć, że są wśród nich normalni, niewinni ludzie, a piekło wojny, w której wszyscy uczestniczymy, jest dziełem politycznych szaleńców.

Gdy obchodziliśmy siedemdziesiątą rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, dowiedziałam się, że grupa sióstr zakonnych w Niemczech modli się za dusze jego ofiar. Zaprosiłam te wyjątkowe kobiety do Warszawy i razem modliłyśmy się na naszym powstańczym cmentarzu.

Niedługo później prezydent Gauck zaprosił nas, powstańców, do Berlina, na otwarcie wystawy poświęconej Powstaniu Warszawskiemu. Gdy jechaliśmy ulicami miasta, przez szybę autobusu zobaczył mnie, staruszkę z białą-czerwoną opaską na ramieniu, niemiecki żołnierz stojący na chodniku. Gdy zaszutował, myślałam, że się rozpłaczę – to mógł być wnuk albo prawnuczek kogoś, kto strzelał do mnie podczas Powstania.

Wiele jest jeszcze na tym świecie do naprawienia, ale życie nauczyło mnie, że warunkiem zrobienia czegokolwiek pozytywnego jest zawsze zrozumienie oponenta, przebaczenie mu, jeśli na to zasługuje, a na koniec – współpraca z nim, jeśli on też będzie tego chciał. Rozmawiajmy ze sobą i współpracujmy tak, by już nigdy nie przydarzył się nam koszmar, byśmy nie czuli do siebie nienawiści.

O Autorce

Wanda Traczyk-Stawska jest przewodniczącą Społecznego Komitetu ds. Cmentarza Powstańców Warszawy. Działaczka podziemia niepodległościowego w czasie II wojny światowej. Strzelec łączniczka w Powstaniu Warszawskim.